NUMER 30. DNIA 26-go LIPCA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(4)

Przystań mieściła się tuż pod miastem, u wybrzeża zabudowanego hurtownymi składami o szerokich drzwiach i małych okienkach. Była to mała, płytka, spokojna zatoka, służąca zwykle za śmietnik nadrzecznym mieszkańcom. Obecnie statki gęsto ją wypełniały. Ogromne „pauzki“, przybyłe z wiosennym rozlewem, zbite według prastarych kozackich wzorów z prostych desek sosnowych — ciężkie, niezgrabne, żółto-białe — wyglądały w zmielałej zatoce, jak trupy mamutów, wyrzucone przez powódź i ugrzęzłe beznadziejnie w mułach. Woda już nie rządziła nimi, a szeroko otwarte drzwi, okna i luki świadczyły o opróżnionem od towarów wnętrzu. Obok stały lżejsze i zgrabniejsze kajuki, kryte i niekryte galary, szkuty, baty, to próżne, to pełne pak, beczek, worów, pęków żelaztwa, stosów skór, zwojów sznurów... Tu i ówdzie szary łańcuch statków roboczych przerywała elegancka, spacerowa barka kupiecka, biało malowana, z czerwonymi lub niebieskimi szlakami na burtach, z kotwicą u dzioba, z mostkiem u rudla i malowanym masztem pośrodku, zdradzająca względną czystością zupełną swą bezużyteczność. Wszędzie roił się tłum ludzi, barwnie ubranych w kolorowe, perkalowe koszule, w szerokie manszestrowe rajtuzy, w kurtki kortowe, aksamitne lub „szwedzkie“ skórzane, z malinową podszewką; w czapkach, w kapeluszach, w bermycach, zwykle zawadjacko naciśniętych na bok albo zepchniętych na tył głów kosmatych. Były to przeważnie postacie rosłe, zamaszyste, podpasane powrozami lub pasami, czasem bose, ale zawsze z nożami u boków, z szorstkimi, opiłymi rysami, ze spojrzeniem mętnem, tajemniczem, jak drzwi zamknięte. Czasem przewinęła się wśród nich oliwkowa twarz Jakuta ze świecącemi, wązkiemi oczkami lub rumiane i białe, jak „pszenna bułka“, oblicze miejskiego kupca w meloniku na głowie i w ,,ucywilizowanym“ paltocie. Wszyscy ruszali się, gadali i przedewszystkiem... klęli... klęli zajadle, z upodobaniem i fantazją. Jednocześnie brzeg jęczał pod kołami wozów, rozwożących towary, pod uderzeniami przetaczanych skrzyń i okseftów. We wnętrzu statków huczało, jakby tam tłukły się roje zamkniętych bąków olbrzymich. Rozbierane na deski ,,pauzki“ dudniły pod uderzaniami młotów i siekier jak wspaniałe bębny... Warczały zgrzytliwie sztaby i blachy przerzucanego żelaza... I co chwila ponad ten wielogłosy koncert buchały to tu, to tam, zbiorowe, głuche jęki gromad ludzkich, dźwigających lub zrzucających z siebie nadmierne ciężary. W powietrzu rozchodziła się woń mułu, smoły, schnącego drzewa i potu ludzkiego. A po za wszystkiem rozpościerał się błękit nieba i modra płachta potężnej rzeki, oddzielona od zatoczki niziutką i wązką strzałką żółtego piasku. Rzeka mknęła szybko, obojętna na kłopoty ludzkiego roju, zajęta wyłącznie własnym

celem, majaczącym niewyraźnie w odległych błękitach. Po jej zwierciadle, wysrebrzonem bruzdami nurtów, łuskami świerzy, dążyły na ukos, ku miastu od mglistych brzegów przeciwnych nieliczne, wiotkie, podobne do szklarek łódeczki krajowców, lub sunęły ciężkie „karbasy", przewalając niezgrabnie szerokiemi jak pletwy wiosłami. Niekiedy „kajuk" z wydętym, białym żaglem przepływał lekko w podmuchach niedostrzegalnych na lądzie wiatrów.

Krok w krok za Andrzejem przepchnął się Stefan przez tłum i wszedł na most statków, połączonych wąziuchnemi deskami. Musieli przebyć cały ich szereg, zanim dostali się na pół obdartą z obszycia „pauzkę", świecącą żebrami szkieletu, niby oprawiony wieloryb. We wnętrzu pauzki uwijali się ludzie z siekierami, dłutami, obcęgami. Gromadka ich siedziała u ognia, płonącego pośrodku na ceglanej platformie. Były to te same postacie w kolorowych koszulach, w futrzanych czapach, w szerokich szarawarach, z nożami u pasów. Nie obejrzeli się nawet na przechodniów grzejąc dalej z niezmąconą powagą spracowane ręce i przez dziury przeświecające kolana. Kiedy Andrzej spytał, gdzie jest Damian, któryś z nich odburknął półgębkiem, że Damiana niema... ale jest Koźma. Wyglądało to na żart, więc Karski się zawahał, ale Andrzej spokojnie udał się we wskazanym kierunku i spytał mężczyznę, czerpiącego kociołkiem wodę z rzeki:

— Gdzie tu jest Czernych, przezywany Damianem?

Mężczyzna zwrócił ku nim smutną, podłużną, zawiędłą twarz pustelnika, zakończoną długą, rozdwojoną brodą.

— Nie wiem! — wyrzekł głucho.

— To jest właśnie ten pan, który chce z nim jechać... — ciągnął niezrażony Andrzej.

Nieznajomy zajął się wyławianiem palcami z kociołka zaczerpniętych z wodą wiorów i kolorowych papierków.

— A wiem!... Słyszałem... Nie wiadomo, czy co z tego będzie... — bąknął niespodzianie, po długiem milczeniu.

— Jakto? Dlaczego?

— *Oni* podobno jadą... z panią... Więc kupcy, co przedtem najęli miejsca, nie zgadzają się... Mówią, że to się nie nadaje, że będzie im... tęskno!

— A wy kim jesteście? spytał Stefan.

— Jestem wspólnikiem Damiana, Koźmą niby... Ale ja co? — ja nic... Ja się zgodzę, byle nie było gorzej!

— Co to za kupcy? Może trzeba, żebym się z nimi zobaczył, pogadał?..

Koźma znowu zwrócił ku nim swą twarz pustelniczą.

— To już... jak powie Damian... Byle nie było gorzej... Oj, grzechy, przewinienia nasze...

Westchnął, wstał i poniósł kociołek do ogniska. Stefan z Andrzejem zostali na miejscu.

— Cóżeś mówił, że zgadzają się? — wyrzucał chłopu Karski.

— Niech pan poczeka! Co on wie?... Nie wiedziałem nawet, że istnieje taki jakiś Koźma... Może on łże!

Ale Koźma nie kłamał. Gruby, tęgi, czerwony Damian, który wkrótce nadszedł, potwierdził wieść o oporze kupców i zawołał Koźmę do wspólnej narady. Ten smętnie stanął w milczeniu obok wspólnika.

— Jeżeli kupcy się zgodzą, to lepszego nie mogło nawet być skutku dla pana. To lepiej, że się pan na parostatek spoźnił, niech pan będzie pewien, nie przyjdzie panu żałować. Oni muszą już gdzieś do tej pory na mieliźnie siedzieć, a my zwolna, ale ciągle posuwać się będziemy naprzód... A bo to raz, zdarzało się parostatki wyprzedzać, czy nie prawda, Koźma?... Pamiętasz w przeszłym roku u „Pijanego Byka." Rozpuściliśmy żagle i jazda, panie gwiazda...

Koźma głową kiwał, lecz niewiadomo było, czy przeczył, czy przyświadczał.

— Aby się jeno kupcy zgodzili! — westchnął wreszcie.

— A ileż będzie mnie ta cała awantura kosztowała? — spytał Karski.

— Niech się pan wpierw z kupcami umówi... Co tam zawczasu gadać. Prawda, Koźma? Kupcy szanowni, powszechnie znani ludzie, panowie Bryłkin, Gubkin i Tereszkin!

Karski musiał udać się do miasta, do gospody, gdzie mieszkali kupcy. Zastał ich w grubym negliżu, pijących herbatę przy otwartem oknie. Było ich trzech: dwóch tłustych, jeden chudy. Bryłkin był najstarszy, średni Gubkin miał i tuszę średnią, a najmłodszy Tereszkin wyglądał, jak nabity sadłem pęcherz. Po wielu namowach, ceregielach, prośbach zgodzili się na podróż z Karskim i jego żoną, wymówiwszy so-

bie, że im będzie wolno śpiewać, o jakiej im się porze podoba.

— To błahostka! O to niech się pan nie spiera! Spać na łodzi można choć dzień cały. To nie parowiec — nie ryczy, nie gwiżdże. Posuwa się leciuchno jak łabędź, kołysze się słodziuchno jak paw!

— Ileż weźmiecie za miejsce?

— Trzydzieści rubli.

— Co?! Trzy razy tyle, co na parostatku?!

— Niech mi pan parostatkiem oczów nie wykłuwa. Co on jest, ten parostatek?... Co za taka osobistość?... Jeżeli go pan tak ubóstwia, to niech pan czeka nań do przyszłego roku... a my popłyniemy!... My po staremu, jak ojcowie nasi: wolniutko, statecznie, na pewniaka! Czy to parostatek, na ten przykład, wysadzi pana, gdzie pan sobie upodoba, albo zatrzyma się na żądanie, albo zwolni, albo przyspieszy... Gdzie zaś — leci jak szalony, kołysze się i robi wiatr... Parostatek dogodny tylko dla kapitana, co siedzi sobie spokojnie w budce i komenderuje... Pasażery — w zaduchu, w błocie, w ciasnocie!... My co innego: my na wolnem, otwartem powietrzu podróżujemy, na słoneczku, w przyjaźni wielkiej, niby na majówce... Parostatek sobie, a my sobie!... Co on jest, kto on jest ten parostatek!.. Pluję ja na parostatek... — perzył się oryl.

(C. d. n.)

CZĘSTOCHOWA NA PODHALU

Dnia 26. lipca odbędzie się w N. Targu uroczyste poświęcenie odnowionego kościółka św. Anny, przyszłej Częstochowy na Podhalu. Kościołek ten odnowiono staraniem i zapobiegliwością p. Ignacego Moczydłowskiego, sekretarza sądu w N. Targu. — Budowa tego starożytnego kościółka sięga XIII. wieku. Dokumentu erekcyjnego tego kościołka nigdzie odszukać nie można, najprawdopodobniej zaginął w czasie dziejowych zamieszek, jak zaginęły i akty do przeszłości Nowego Targu wogóle. Znana jest tylko legenda, którą nawet wybitni kronikarze powtarzają, że na tem samem miejscu, gdzie stoi obecnie kościołek św. Anny, osiedliło się w XIII. w. dwóch pustelników.

Jak kroniki wspominają, w owym czasie cała dzisiejsza dolina nowotarska wzdłuż brzegów Białego i Czarnego Dunajca była zalana wodą, a reszta obszaru pokryta była lasami, pełnymi dzikiego zwierza i zasiana moczarami i bagnami.

Osławione zbójnictwo kwitnęło ongi na Podhalu.

Otóż za namową owych dwóch pustelników zbójnicy mieli porzucić swoje zbójnickie rzemiosło i na tem samem miejscu, gdzie pustelników zastali — wybudować mieli własnymi rękami kościołek św. Anny.

Z pierwotnej budowy, według zdania znawców, nic nie pozostało i pozostać nie mogło wobec najazdu Tatarów w r. 1241 i 1287. W kościołku św. Anny na tęczy sklepienia widnieje napis: „*Erectum* A. D. 1219" i na napis ten powołują się rozmaici kronikarze.

Być zatem może, iż w tym roku kościołek ów wybudowano — później po odnowieniu, a raczej może po odbudowaniu napis ten — jak i obecnie na tęczy sklepienia umieszczono.

Znawcy twierdzą, iż kościołek św. Anny, już przez samo swe położenie na wzgórzu tuż przy północnym brzegu Czarnego Dunajca wskazuje, iż sięga odległej przeszłości, a zdanie to podzielają Konsystorz krakowski i prokuratorja skarbu.

Ze względu, iż w r. 1219 dolina nowotarska była cała pod wodą, kościołek św. Anny nie mógł być budowany w dolinie, położenie więc na wzgórku stwierdza tem samem wiek kościołka

św. Anny. O dawniejszych odnowieniach tego kościołka nic nie wiadomo.

Wiadomem tylko jest, iż w r. 1327 był plebanem w Nowym Targu ks. Ryszard, a w r. 1335 ks. Jan. Po wybudowaniu kościoła parafialnego w N. Targu w r. 1343 byli już proboszczowie przy kościele parafialnym, zatem owi proboszczowie przed 1343 r., jak twierdzą kronikarze, mogli być ustanowionymi przy kościołku św. Anny; stanowczo zaś kronikarze zaprzeczają, aby ci plebani byli zakonnikami, gdyż w dokumentach napisane jest: „Dominus Richardus plebanus, Dominus Joannes plebanus“, a nie patres. Podówczas zresztą zakonnicy nie bywali plebanami.

Według znawców budowa starożytnego kościołka św. Anny pochodzi z XV. lub z początku XVI. w.

Według aktu wizytacji kanonicznej, dokonanej w r. 1608 przez ks. Jana Januszowskiego, kościołek św. Anny istnieć miał już 100 lat, a zatem był konsekrowany około 1500 r.

Według zdania prokuratorji skarbu, kościółek św. Anny nie miał ani fundatora, ani fundacji.

Kościołek św. Anny miał powstać z ofiarności górali i do r. 1608 przeznaczony był do nabożeństw prywatnych, od r. 1608 przeznaczono go dla bractwa św. Anny i bractwo to wzięło go od r. 1608 w opiekę.

Od połowy XVIII. w. kościołkiem tym zarządzał prowizor wybrany z bractwa — około połowy XIX. w. prowizor pod nadzorem gminy, a od r. 1879 Komitet z łona rady gminnej wybrany.

Straszne pożary w r. 1601—1784, 1804 i 1822, które nawiedziły podówczas Nowy Targ, nie uszkodziły bynajmniej kościołka św. Anny, mimo, że nie był, jak obecnie otoczony drzewami.

Pożar w r. 1601 zniszczył doszczętnie miasto Nowy Targ, z ratuszem, plebanją i kościołem parafjalnym. W r. 1784 tak samo. Kościołek św. Anny jednakowoż ocalał. O pożarach tych wspominają akta.

W r. 1655 Szwedzi nawiedzili N. Targ.

Podług legendy kościołek św. Anny mieli kilkakrotnie podpalać Szwedzi, widząc jednak, że ogień ich nie ima się kościołka — mieli odstąpić od bezowocnych prób podpalania.

Że kościołek św. Anny nie był zniszczony przez Szwedów, świadczą napisy wyryte na ścianie, pochodzące z r. 1645 i 1649; napisy te odkryto po zdjęciu oszalowania kościołka. Również król Jan Kazimierz w swym przywileju dla N. Targu z tamtejszej doby — uwzględniając zniszczenie całego N. Targu przez Szwedów uwolnił tut. mieszkańców od wszelkich danin i podatków na 4 lata.

Kościołek św. Anny posiada 2 starożytne obrazy, jeden z końca XV. w. (Matka Boska), a drugi obraz św. Anny z r. 1516. Gdyby zatem kościółek św. Anny zgorzał był w r. 1601, lub był zniszczonym przez Szwedów w r. 1655 — nie ostałyby się były i owe dwa obrazy.

Bractwo św. Anny przy kościołku św. Anny założono w r. 1608.

Co się tyczy odnowień kościołka św. Anny w dawniejszch czasach, to pamiętne są tylko z r. 1772 i 1865, o dawniejszych ślad zaginął.

W r. 1772 dobudowano wieżę do kościołka i rozszerzono nawę samego kościołka; odnowienie z r. 1865 ograniczyło się do wewnętrznego pomalowania. — Z okazji odnowienia w r. 1772 i 1865 nasuwa się kilka przykrych uwag. Czego nie zniszczył ząb czasu, pożary, Szwedzi, to zniszczyła wandalska dłoń odnowiciela. — Wiarygodni świadkowie opowiadali, iż w r. 1772 i 1865 „odnowiciele“ pozabierali dokumenty tyczące się kościołka z kopuły i owijali w te papiery masło.

Sama kopuła wieży kościołka św. Anny, została przestrzelona kulą szwedzką.

Poginęły również cenne i pamiątkowe wota z kościółka św. Anny, a zapodział się nawet dochód z kościołka św. Anny z fundacji Katarzyny i Wojciecha Olechowskich z dnia 15. stycznia 1768. Aktem spisanym w ratuszu miasta N. Targ oddali kościołowi św. Anny rolę obejmującą 24 morgi gruntu wybornego, żądając, ażeby po wieczne czasy za dochód z tej roli proboszczowie nowotarscy odprawiali nabożeństwa w kościele św. Anny za fundatorów, w święto św. Anny, w rocznicę poświęcenia kościołka tegoż, w niedzielę po każdych suchedniach, w święto św. Joachima, w wielkanocny i świąteczny wtorek.

Obowiązek ten przyjął ówczesny pleban nowotarski X. Sawicki wraz z sukcesorami swoimi.

Stało się jednak inaczej; dochód z roli św. Anny gdzieś przepada, nabożeństw w kościołku św. Anny nie ma, a na t. zw. odpust św. Anny, t. j. na mszę św. i kazanie, żebrze Bractwo św. Anny po mieście, i to się ma nazywać: Ad majorem Dei Gloriam.

Kościołek św. Anny był już tak zniszczony, iż groził zawaleniem. Szczęście chciało, iż przewodniczącym komitetu kościółka św. Anny wybrano p. Ign. Moczydłowskiego, sekretarza sądu, który zajął się pamiątkowym zabytkiem starożytności, a energją i zapobiegliwością doprowadził do tego, iż kościołek św. Anny został całkiem odnowiony trwale, przy niezmienionym stylu dawnej budowy. Kiedy p. Moczydłowski zajął się budową kościołka św. Anny na wiosnę b. r. w kościołku tym nie było posadzki, w ścianach były dziury, a cały dach wieży i ściany za jednem potrąceniem silniejszem obróciłyby się były w próchno. W kościołku samym nie było żadnych przyborów kościelnych! A przecież ongi była ich moc. Utrzymały się zaledwie relikwje św. Anny

Największą opiekę i dbałość nad tym kościołkiem św. Anny, oraz Bractwem miał ongi proboszcz tutejszy X. Józef Sawicki (był proboszczem od r. 1761—1789), później o kościołku św. Anny zapomniano, a radni tutejsi wolą myśleć o licytacjach, chociażby nawet mchu, a rzeczy wzniosłe nic ich nie obchodzą.

Panu Moczydłowskiemu zawdzięcza Podhale, iż restaurując kościołek św. Anny swoją niestrudzoną zapobiegliwością spowodował i dokonał, iż Podhale będzie mieć wkrótce odnowioną świątynię. Chodzi teraz o to, by kościołowi św. Annie zwrócono 24 morgów gruntu, dano plebana, a w komitecie kościelnym, by po p. Moczydłowskim zasiadł godny następca.

P. Moczydłowski na własne żądanie opuszcza N. Targ, żegnany z żalem przez miłośników starożytnych pamiątek i ludzi, ceniących wyższe poloty ducha.

Przybory kościelne do odnowionego kościołka darowały częścią krewne p. Moczydłowskiego, a częścią panie tutejsze na prośby niestrudzonego przewodniczącego komitetu św. Anny.

Poświęcenie tego, kościołka odbędzie się 26. jak powiedzieliśmy. Życzyć sobie należy, aby znów jakieś wandalskie dłonie losem tegoż kościołka się nie zajęły.

Przy odnowionym kościołku złożone zostaną akta z wszelkiemi możliwemi wiadomościami i legendami od czasów najdawniejszych.

N. Targ 18. lipca 1903. *Karol Stopiński.*

NOWELE I POWIEŚCI ORKANA.

(4)

Ale bardziej może jeszcze od samego przebiegu walki, zakończonej wyjazdem ostatniego z Rakoczych do Siedmiogrodu — na zarobek, zasługuje w tej powieści na uwagę strona psychologiczna utworu, a zwłaszcza stopniowe rozrastanie się duszy bohatera głównego, pełnego miłości, zakreślającej coraz szersze kręgi, — w przeciwstawieniu właśnie do otoczenia najbliższego, złożonego przeważnie z ludzi, zajętych pracą i kłopotami codziennymi, nie mówiących i nie myślących nigdy o rzeczach, niewidocznych dla oka, nie mających nawet ochoty spojrzeć na niebo, „czy podparte czem, czy samo na powietrzu wisi". Zapewne — górali takich, jak Rakoczy, nie widział prawdopodobnie autor wśród otoczenia swojego, postać tę wyidealizował niewątpliwie i wlał w nią niemało zapału, marzeń i dum serdecznych z własnej swej duszy, dzieląc

się z bohaterem swoim skarbami, nagromadzonymi w niej, niby w jakiemś zaklętem królestwie. Czyż jednak powieść malować ma zawsze tylko świat realny, nie zbaczając na krok jeden od utartej ścieżki powszedniości? Postaci idealne, wyśnione w najtajniejszych snach wyobraźni, nie od dziś przecież mają w niej chyba prawo obywatelstwa.

Śmieszne są skądinąd wymagania jednego z kacyków naszej krytyki, który dziwi się, że Rakoczy nie dobrał sobie kilkunastu towarzyszów pracy i nie rozpoczął — może przy pomocy odpowiednich broszurek — systematycznej działalności w gminie — zamiast próbować napróżno wzruszyć strupieszałe mumje żarem zapału i miłości. Ależ autor nie chciał bynajmniej w tej postaci przedstawić urzędowego działacza społecznego, rzecznika tej lub owej doktryny, lecz płomiennego apostoła prawdy, do której sam Rakoczy w rozwoju swoim dochodzi i w której potęgę tak wierzy, że gotów nią Tatry z miejsc swoich poruszać, dopóki zapału tego niewystudzą — lodowaty chłód, bezmyślna obojętność i złość pozioma dusz ludzkich.

Rzecz charakterystyczna, że miłość jego, zataczając koła bardzo szerokie, spoczęła najpierw na wyidealizowanej, wymarzonej postaci kobiecej. Niczego i nikogo nie pragnie tak chwilami, jeno serca jednego z pośród ludzi, któreby za nim szło w płomienne życie. I zdaje mu się przez czas jakiś, że serce takie znalazł właśnie w Hance Suhajównie, a choć ona niechętnie słucha jego rojeń, choć lubi przedewszystkiem tulić się namiętnie do niego, a jeśli mówi, to o podziale roli lub wypłacie, on widzi w niej długo główną powiernicę swych marzeń i myśli najgłębszych i pragnie tylko, aby wierzyła w niego, bo mu „trza koniecznie, aby ktoś w niego uwierzył, choć jedna duszyczka...“ Miłość Rakoczego rozszerza się prędko i pogłębia. Zrozumiał, że nie ludzi nawet miłuje, ale ich biedę, jakąś smętną, załzawioną, włóczącą się po ugorach na wietrze, że nie czuje nienawiści do nikogo na świecie, ale całą duszą walczyłby z niesprawiedliwością, kędy się jeno gnieździ — w sercach ludzkich czy na obłokach. Uczucie to zatoczyło z czasem, zwłaszcza podczas długich miesięcy, spędzonych wśród lasu przy pracy, jeszcze szersze kręgi, ogarniając nie ludzi tylko i ich nędzę, lecz cierpienia i bóle wszelkiej istoty żyjącej. Coraz częściej stawać mu zaczęły przed oczyma „chaty opuszczone, które wiatr jesienny rozwala, gniazda nadbrzeżne, ktore woda topi, i gniazda leśne które deszcz zalewa, krzycząca rozpacz ptaków, którym pisklęta poginęły, i niema rozpacz matek, które biegną po nad wodę, obłędem porywane — cała ta procesja chat bezludnych i ludzi bezdomnych, nad ktorymi powietrzem leci płacz żałosny z rozwianymi włosami, jak płomień na wietrze, a na ziemi, na roli, w przybróździe głębokiej, wije się, jak wąż raniony, wściekła niemoc ludzka... Wszystka nędza rozpaczna tych padolnych stworzeń zachodziła mu chmurą przed oczy i stawała obrazem krzyczącym przed jego myślą rozpłakaną.“

Lecz ani takie obrazy, ani widok urwiska, nad którem stał w oczach Rakoczego cały umiłowany tak gorąco lud górski, nie zdołały usunąć z jego serca drogiego obrazu Hanusi. Ją uważał za swą współdziałaczkę najpierwszą, o ramię jej wsparty, gotów był stanąć do walki z całą nędzą ziemi. To też w literaturze powieściowej niewiele mamy scen, równie gorzkich i smutnych, jak ta, jedna z ostatnich w powieści Orkana, gdy bohater jej, pod wpływem brutalnych, niemiłosiernych słów ukochanej, rozbudził się nagle ze snu czarownego, gdy wymarzona przezeń postać oddzieliła się zwolna od tej, którą miał przed sobą, odbiła się mgłą na ścianie i znikła, raczej wróciła do jego pamięci. Przed nim stała tylko Hanka, zwyczajna Hanusia, więc rozśmiał się tak szeroko ze swej pomyłki, że aż siostra z izdebki przybiegła patrzeć, co się stało, a Hanka już naprawdę z trwogą pomyślała, że Franek zwarjował...

Na tem już przerwać musimy. Słówkiem tylko zwrócimy jeszcze uwagę na jedną z ostatnich scen tomu pierwszego, na to nieskończone piekło krzywd ludzkich, idących się skarżyć do sądu, które zobaczył i Franek Rakoczy, gdy chciał praw swoich dochodzić, a zobaczywszy — uciekł na długo od ludzi i wynajął się do ścinania uboczy leśnej wśród dzikiego pustkowia górskiego.

Te i tym podobne sceny — z takim np. opisem odpustu wiejskiego na czele, silne odczucie przyrody górskiej, a silniejsze jeszcze — nędz i krzywd ludzkich, wyborna charakterystyka pełnej życia galerji występujących w utworze postaci, język wreszcie bogaty, malowniczy, świeży, pełen pięknych porównań i przenośni, zaczer-

pniętych bezpośrednio z obfitego skarbca mowy ludowej — wszystko to czyni z nowej powieści Orkana wspaniały obraz życia zbiorowego oraz indywidualnego rozwoju wyższej nad tłum jednostki, obraz, pełen poezji i siły, mogący stanąć w jednym szeregu z najlepszymi, jakie wyrosły w ostatnim lat dziesiątku na pokrytej młodą a niezwykle bujną zielenią niwie polskiej literatury powieściowej.

Wł. Bukowiński.

Przeciw skażeniu języka w urzędach.

Pojawiła się rozprawa p. Dr. Juliana Morelowskiego p. t.: „O stylu urzędowym i terminologji prawniczej“, której autor wykazuje wpływ szkodliwy wzorów niemieckich na wyrazownictwo polskie w sądach i w innych urzędach i apeluje do urzędników, by stanęli na straży czystości języka polskiego a otrząśli się z naleciałości niemieckiego biurokratyzmu. Próbki stylu urzędowego, w Galicji i długi rejestr utartych już w urzędowaniu formułek germanistycznych, na polskie żywcem przełożonych, daje istotnie bardzo smutne świadectwo o naszej polszczyźnie urzędowej. Tem cenniejszą jest praca p. Dr. Morelowskiego, która dla urzędników polskich może być poniekąd podręcznikiem poprawnego stylu urzędowego, a że ten elementarz jest króciutki, bo na 33 stronach streszczony, każdy urzędnik Polak powinien uważać sobie za obowiązek gruntowne przestudjowanie wielce pożytecznej rozprawki. Napisaną ona jest zresztą tak zajmująco, że chociaż przeznaczona dla prawników, każdy, nawet nieprawnik z wielkiem zainteresowaniem i zadowoleniem ją odczytuje. Ta mała książeczka dotyka tak ważnego przedmiotu i tak gruntownie go omawia, że pomimo małych rozmiarów zasługiwałaby na obszerny rozbiór w pismach codziennych, lecz rozbiór taki jest niemożliwym, wypadałoby bowiem z powodu treściwości rozprawy większą jej część dosłownie przedrukować. Atoli publikacja ta nie powinna bezwarunkowo minąć niespostrzeżona, zalana falą mniej wartościowych, choć z pozoru pokaźniejszych utworów, a każdy, komu leży na sercu sprawa narodowa, zapoznać się z tą książką powinien.

W końcowych wnioskach proponuje p. Dr. Morelowski, by Wydział Towarzystwa prawniczego przedstawił Akademji Umiejętności w Krakowie potrzebę wydania „Słownika niemiecko-polskiego wyrazów prawniczych i administracyjnych“ — tudzież potrzebę wydania obszernego słownika polskiego wyrazów prawniczych z uwzględnieniem terminologji najnowszych czasów.

Gdyby Akademja Umiejętności nie mogła podjąć się tych zadań, radzi p. Dr. Morelowski, by Towarzystwo prawnicze wybrało komisję terminologiczną w celu spełnienia w całości lub w części tego zadania. Komisja powinnaby powołać do swego grona przedewszystkiem wybitnych prawników, nie pomijając urzędników emerytowanych, którzy mając wiele wolnego czasu, mogliby swą wiedzę przynieść narodowi w ofierze. Należałoby dalej — zdaniem wnioskodawcy — powołać osoby, znające dawny język prawniczy polski i pomniki prawa polskiego, a prócz tego powinnyby zasiadać w komisji osoby, władające po mistrzowsku językiem polskim, bez względu czy są prawnikami, czy nie, jak wybitni filologowie i t. p.

Wreszcie zwraca się autor do urzędników, przywodząc im na pamięć obowiązki względem języka ojczystego i wzywając do gorliwego ich wypełniania, bo, według słów Józefa Kremera „bez mowy ojczystej nie ma narodu; mowa jest ciałem ducha narodu każdego, a gdy to ciało obumiera, znika duch, opuszcza ziemię i rozstaje się z życiem dziejowem“.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. J. A. Święcicki. *Literatura perska.* „Ludy wschodnie — powiada Hammer-Purgstall — są najpoetyczniejsze“. Dlatego z wielką przyjemnością bierzemy zawsze do ręki książkę polską, która otwiera nam wrota do poznania tych nieznanych wcale u nas dziedzin myśli. Piąty tom Literatury Powszechnej, wydawanej przez J. A. Święcickiego, zawiera Literaturę perską. — Autor trzyma się tu zwykłego swego, a z poprzednich tomów znanego już nam szematu i opisuje naprzód geografję danego kraju, wpływ klimatu i otoczenia, fauny i flory. Podaje rys etnograficzny Persów i krótką ich historję, stan kultury, przemysłu, handlu, sztuki. Zaznajamia nas z językiem; w obecnym tomie autor miał dużą trudność wykładu językowego z tego powodu, że w Persji kilkakrotnie w ciągu dziejów zmieniał się język zarówno jak pismo; Persowie używali naprzód pisma klinowego (za Achemenidów), potem zendzkiego (za Sasanidów), wreszcie arabskiego. Język stopniował się w sposób następujący: był naprzód t. zw. ultsaktrisch; potem Zend, następnie pehlvi, wreszcie nowoperski, który z biegiem czasu przepełnił się wyrazami arabskimi, choć u Firdusiego np. nie ma ich jeszcze wcale. — Pierwotne pomniki perskie zawierają tylko napisy klinowe dawnych królów; Zend ma tylko jeden nieśmiertelny pomnik literacki trestę, która jest podstawą całej religji perskiej i tradycji narodowej. Religja ta (Mazdeizm) przetrwała do VII. w. po Chrystusie, w którym to czasie Persów podbili Arabowie i nawrócili ich na wiarę Mahometa. Jednakże część Persów religji tej nie przyjęła i do dziś pozostała wierną Zoroastrowi (Gwebrowie, zwani czcicielami ognia). Dopiero podbój arabski pobudził ducha perskiego do twórczości i dopiero od owego czasu datuje się literatura perska. Miała ona swój wiek złoty w X. i XI. wieku po Chr. Królowie perscy — wzorem Kalifów arabskich — popierali sztukę. Już w X. w. znajdujemy obfitą lirykę perską, ale prawdziwy rozkwit oznacza Firdusi (tj. Rajski), autor olbrzymiej narodowej epopei — Szahnameh (księga królów), który zebrał wszystkie tradycje narodowe swego ludu, a zwłaszcza dzieje walki Iranu z Turanem. Pozatem Persja stworzyła bogatą lirykę mistyczno-dydaktyczną (Abu Said, Nasir ben Chozra); poezję mistyczno-religijną (Senai, Feridedin Attar, Dżeladin Rumi). — Saadi słynie jako autor dwóch poematów fantastyczno-moralnych Gulistan (ogród różany) i Bostan (ogród owocowy). Bardzo wdzięczna i poza granicami Persji najgłośniejsza jest poezja erotyczna i satyryczna; zwłaszcza słynni byli Chajjam i Feriumendi, nakoniec ów perski Heine — imieniem Hafiz. — Romantyzm perski wyobrażają Nizami i Dżami — właściwi twórcy, tak później popularnego w Europie rodzaju — romansów rycersko-miłosnych, fantastycznych i pełnych zawikłanej intrygi. Autorzy ci pisali wierszem: później występuje romans w prozie (Tuttinameh — księga papugi — ułożona na wzór 1001 nocy). — Persowie mają też bogatą literaturę dramatyczną, naukową i filozoficzną. — P. Święcicki z niezmiernem zamiłowaniem traktuje swój przedmiot i literaturę perską rozwinął na 500 blisko stronicach, ilustrując wykład tłumaczeniami poezji perskiej, najczęściej własnego pióra.

Wydawnictwo tej literatury (należące do Bibljoteki Dzieł Wyborowych) stanowi bardzo ważny i użyteczny przyczynek w naszem pismiennictwie podręcznikowem i zaleca się pięknym stylem, jasnym wykładem, bogactwem erudycji, przykładów, komentarzy, bibljografji, słowem stoi zupełnie na wysokości nauki współczesnej i może być polecone wszystkim do czytania. O tomie VI. (Liter. żydowska) pomówimy osobno. *A. L.*

NOTATKI. *Przekłady z polskiego.* „Arbeiter Zeitung“, czasopismo codzienne, wychodzące w Wiedniu, podało w jednym z ostatnich numerów przekład noweli Orkana p. t.: „Wesoły dzień“. Jest to pierwszy, ile wiemy, przekład niemiecki młodego autora, którego utwory były już tłumaczone na kilka języków słowiańskich: ruski, czeski, chorwacki, rosyjski.

„Starego sługę“ i „Hanię“ Sienkiewicza wydano po słowacku w Turczańskim św. Marcinie, w bibliotece powieści, wydawanej przez tamtejszą spółkę wydawniczą.

W Muzeum narodowem w Krakowie otwarto w tych dniach salę zabytków średniowiecznych. Zarząd, urządzając ten dział, trzymał się konsekwentnie tej samej zasady, którą przyjął na początku, a mianowicie, by wszystkie zabytki, bez względu na rodzaj techniki wystawiać razem, uwzględniając równocześnie porządek chronologiczny. Tak więc na lewo od wejścia zawieszono odlewy gipsowe z najstarszych zabytków sztuki w Polsce: drzwi z katedry gnieźnieńskiej, tympanony romańskich portali z Łęczycy, Strzelna, Wysocic i Wrocławia, dalej rzeźby z XIV. wieku bądź w odlewach bądź w oryginałach, jak Madonnę z Krużlowej, zworniki z „sali hetmańskiej“, głowę Chrystusa z okna kościoła N. Panny Marji“, Madonnę z kościoła św. Mikołaja itp. W dalszym ciągu, na przeciwległej ścianie, widzimy rzeźby i obrazy cechowe z XV. wieku, jak np. św. Jana i Matkę Boską z kościoła Bożego Ciała, św. Barbarę, oraz odlewy z rzeźb Stwosza. Górą rozwieszono obrazy ruskie. Salę podzielono parawanami, zyskując w ten sposób miejsce na obrazy i rzeźby, których nie można było zmieścić na ścianach. Zabytki przemysłu artystycznego, jak cenny krzyż emaliowany z XII. wieku oraz wyjątkowej wartości grzebień, rzeźbiony z kości słoniowej w XIV. wieku itd., mieszczą się w szklannej szafie.

Bardzo interesująca jest kompletna kolekcja pieczęci polskich średniowiecznych w odlewach galwanoplastycznych, zebrana przez prof. Piekosińskiego, a nabyta w ostatnich czasach do Muzeum.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.